

Temat tygodnia

- 12 Joanna Sawicka
Wojciech Szacki
Samorządy na froncie
- 15 Agnieszka Sowa
Pokolenie, które umie mówić „nie!”

Polityka

- 19 Jakub Bierzyński
Jak wygrać z PiS
- 22 Mariusz Janicki
Wiesław Władysław
Historia na usługach władzy

Co po PiS?

Społeczeństwo

- 26 Ewa Siedlecka
Prawo nie wystarcza, zwierzęta nadal cierpią
- 30 Marta Mazuś
Samotny protest cieszynianki
- 33 Rozmowa z dziennikarzem i aktywistą **Markiem Kossakowskim**, jak się odnaleźć po przejściach
- 36 Joanna Leszczyńska
Pułapki w drodze po dobrą protezę

Rynek

- 38 Ryszard Bugaj
Jak w III RP naprawiano i psuto system emerytalny
- 42 O Ukraińcach na polskim rynku pracy mówi szef Międzyzakładowego Związku Zawodowego Pracowników dr **Jurij Kariagin**
- 44 Rafał Woś
Co wynikło z „Kapitału w XXI wieku” Piketty’ego

Świat

- 48 Łukasz Wójcik
ARABIA SAUDYJSKA
Kontrowersyjne wizje młodego władcy
- 51 Marek Rybarczyk
WIELKA BRYTANIA
Nędza angielskiej klasy politycznej
- 54 Tomasz Zalewski USA
Koniec loterii wizowej?
- 56 Jędrzej Winiński
ZIMBABWE
Nowe rozdanie, nowe złudzenia

19



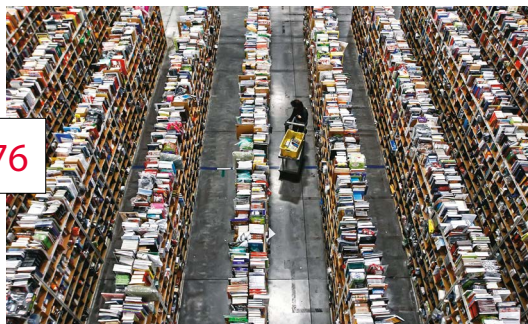
Chwyty dla opozycji

48



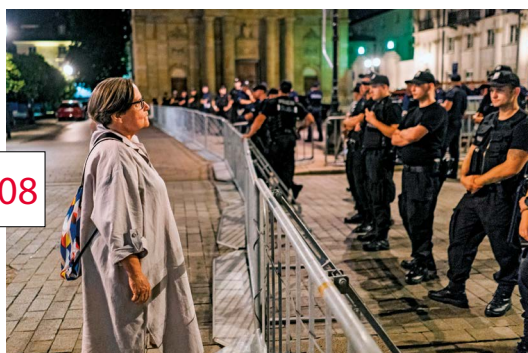
Książę z innej bajki

76



Handel w internecie – nabrani na superoferty

108



Emocje na ulicach

Historia

- 58 Marcin Zaremba
Jak aparat PRL podsłuchiwał aparatczyków PRL
- 62 Jan M. Długosz
Skąd się wzięły czołgi

Nauka

- 66 Marcin Rotkiewicz
Spór o herbicyd – ekolodzy przeciw rolnikom
- 70 Rozmowa z laureatem Nagród Naukowych POLITYKI dr. **Janem Poleszczukiem** o roli matematyki w medycynie
- 74 TECHNOECHO

Ludzie i style

- 76 Aleksandra Żelazińska
Jak nami manipulują sieciowi sprzedawcy
- 80 Marcin Piątek
Sasha Sidorenko – młoda, ładna i mocno bije

Kultura

- 86 Justyna Sobolewska
Literatura o prowincji, ale czy prowincjonalna – 25 lat Paszportów POLITYKI
- 90 Rozmowa z **Piotrem Domalewskim**, reżyserem „Cichej nocy”, o jego drodze do debiutu
- 94 Aneta Kyzioł
Krystian Lupa zrobił widzim „Proces”
- 96 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
- 98 KAWIARNIA LITERACKA
Renata Lis
- 100 Urszula Schwarzenberg-Czerny
Pozapaństwowy obieg kultury
- Na własne oczy**
- 108 Tekst Joanna Podgórska
Zapis polskich protestów społecznych

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 82 Afisz • 102 Passent
- 103 Chutnik i Plebanek
- 104 Hartman
- 106 Do i od redakcji
- 107 Fusy, plusy i minusy
- 114 Polityka i obyczaj



GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Spisek brukselskich elit

Komisja Europejska ostrzegła, że Polsce grozi odebranie prawa głosu w Radzie Europy. Moim zdaniem nie będzie to jednak kara szczególnie dotkliwa, bo pod rządami PiS Polska w Radzie Europy i tak nie ma swoim głosem nic ciekawego do powiedzenia. Prawdopodobnie właśnie dlatego na cztery kolejne zaproszenia do spotkania i rozmowy wiceprzewodniczący KE nie dostał od przedstawicieli polskiego rządu żadnej odpowiedzi.

Osobiście uważam, że forsowana przez Beatę Szydło i Witolda Waszczykowskiego polityka nierozmawiania z Brukselą jest polityką słuszną. Zwłaszcza że gdy premier Szydło czy minister Waszczykowski zabierają w Brukseli głos, odnosi się silne wrażenie, że byłoby lepiej, gdyby nic nie mówili. Niektórzy podejrzewają nawet, że umożliwienie pani Szydło i panu Waszczykowskiemu zabierania głosu to element cynicznego spisku brukselskich elit, mającego na celu ośmieszenie Polski i osłabienie jej pozycji w Europie.

Innym elementem tego spisku jest zmuszanie Polski do zaniechania reformy sądownictwa, przywrócenia niezależności Trybunału Konstytucyjnego oraz potępienia Marszu Niepodległości z powodu pojawienia się na nim rasistowskich haseł. Zdaniem europosłów PiS Bruksela nie ma prawa w treść tych haseł ingerować,



bo hasła te są wewnętrzną sprawą Polski. „To kolejny pokaz siły wobec Polski” ocenił podczas debaty w europarlamencie europoseł Legutko, który na szczęście tej siły się nie uląkł. Zamiast tego oburzył się i wygłosił płomienne oskarżenie pod adresem wrogów Polski, po czym opuścił salę obrad, nie reagując na prowokacje Guya Verhofstadta, usiłującego wciągnąć go w jałową dyskusję merytoryczną będącą poniżej godności Legutki jako Polaka, profesora i członka PiS.

Swoją drogą szacunek budzi fakt, że mimo tego, jak Polska jest w Brukseli opluwana, Legutko wciąż znajduje w sobie siłę, żeby w niej wytrzymywać, pobierając przy tym wysokie wynagrodzenie. Wiele osób o słabszym charakterze prawdopodobnie nie wytrzymałoby i uznało, że zamiast przebywać w towarzystwie ludzi, którzy Polskę obrażają, lepiej wrócić do kraju. Jednak Legutko się zawiązał i przyznam, że jego bezkompromisowa postawa, polegająca na oburzaniu się i jednoczesnym pobieraniu wysokiego uposażenia, imponuje mi. Po prostu uważam, że postawa Legutki ma swoją cenę i Legutko powinien ją od Brukseli egzekwować.

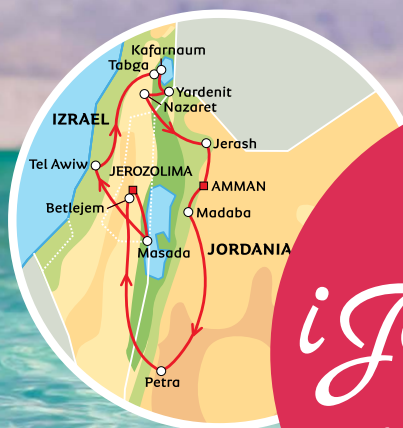
Z resztą z uwagi na to, że patriotyczne akty strzeliste tylko ośmieszają Legutkę, trudno wymagać, żeby wykonywał je za darmo. Dlatego mam nadzieję, że prof. Legutko w nieprzyjaznym, antypolskim otoczeniu wytrwa i jako patriota w dalszym ciągu nie odpuści Brukseli ani centa.

Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. - Polski pilot - Wyloty z Polski - Małe grupy

NAJWIĘKSZY W SKANDYNAWII
ORGANIZATOR
WYCIECZEK
OBJAZDOWYCH

TERAZ W POLSCE



*Izrael
i Jordania*
Od 4598zł

Rabat
300 zł/os.

przy każdej
rezerwacji
do czwartku
23.11.2017

Izrael z Jordanią w 8 dni

Program wycieczki: **Dzień 1.** Wylot z Warszawy do Tel Awiwu.

Dzień 2. Jezioro Galilejskie. Tabga. Kafarnaum. Yardenit – miejsce chrztu Jezusa. **Dzień 3.** Kana Galilejska. Nazaret. Przejazd do Jordanii. Jerash – „rzymskie miasto”. Amman. **Dzień 4.** Wjazd na Górę Nebo. Madaba – mozaiki bizantyjskie. **Dzień 5.** Petra – lista światowego dziedzictwa UNESCO, przejazd mostem Allenby do Izraela. **Dzień 6.** Góra Oliwna oraz Ogród Oliwny. Jerozolima – Brama Jaffy, „Ściana Płaczu”, Meczet Al-Aksa i Kopuła na Skale.

Bethesda. Droga Krzyżowa – Via Dolorosa. Bazylika Grobu Świętego. Grób Króla Dawida i Ostatnia Wieczerza.

Dzień 7. Betlejem – Bazylika Narodzenia Pańskiego, Grota Mleczna. Pustynia Judzka i kąpiel w Morzu Martwym. Masada.

Dzień 8. Po śniadaniu przejazd na lotnisko i powrót do Polski.

Wylot 06.02, 08.03 i 15.04

- Hotele: 3* i 4* (7 nocy).
- Wyżywienie: 2 posiłki dziennie.

RPA 8 dni



Oceny gości ★★★★★ 4,5



**Safari
w RPA
6298zł**

Wyloty 19/03 i 30/04 2018

- Hotele: 3+* (5 nocy)
- Wyżywienie: 5 śniadań, 3 obiady, 3 kolacje

W czasie wycieczki proponujemy przejazd fascynującą trasą Panorama Route, wizytę w zachwycającej Pretorii oraz w kopalni diamentów, z której wydobyto słynny diament nazwany „Wielką Gwiazdą Afryki”. W programie także safari w Parku Narodowym Krugera i chwila relaksu w pięknie położonym hotelu Zebra Country Lodge. *Peten program na stronie www.albatros.pl*

JAPONIA 12 dni



Oceny gości ★★★★★ 4,5



**Japonia
z Albatrosem
12998zł**

Wylot 07/03 2018

- Hotele: 4* (10 nocy)
- Wyżywienie: 10 śniadań, 6 obiadów, 2 kolacje

Wyjątkowa podróż do Japonii ze zwiedzaniem największych atrakcji – nowoczesne Tokio, Park Narodowy Hakone, góra Fuji, urokliwe Kioto, Hiroshima, wyspa Miyajima ze słynną bramą torii, Kagoshima na wyspie Kiusiu, wulkan Sakurajima oraz Osaka. Przejazdy najszybszym pociągami świata – Shinkansen. *Peten program na stronie www.albatros.pl*

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2 os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz bilety wstępów.

Adres: Warszawa ul. Marszałkowska 74
Kod reklamy: PLo2

Rezerwacja +48 22 128 48 81 | www.albatros.pl
Kup książkę

KOMENTARZ

Nuda łamania demokracji



Mariusz Janicki

Dwulecie rządów PiS upływa tej formacji całkiem przyjemnie. Ministrowie chwają się sukcesami, komentatorzy, eksperci, a nawet opozycyjni politycy spierają o ekonomiczne wskaźniki, że miało być tyle, a jest tyle, tu poszło lepiej, a tam gorzej. Kto poleci, kto zostanie, a może będzie zmiana premiera? Ot, normalna dyskusja nad rządem w zwykłym demokratycznym kraju. Jeden z publicystów w „nierządowej” gazecie napisał o „starych śpiewkach o Trybunale Konstytucyjnym i zamachu na sądownictwo” – należy rozumieć, że to zwietrzałe sprawy, które już nikogo nie interesują, po prostu ziew.

Nuda łamania demokracji staje się wyraźnie widoczna. PiS wziął wszystkich na zmęczenie, na metodę faktów dokonanych i ogłoszonych jako zakończone. Odbywa się powolne gotowanie żaby: tak, by – poza najbardziej zorientowanymi politycznie – większość nie dostrzegła zagrożenia dla praworządności. Ludzie w dużej mierze przyzwyczaili się do ogłupiającej propagandy w rządowej telewizji, do spacyfikowanego Trybunału, prokuratury podległej rządowi. Przejęcie sądów przez PiS, które po cichu następuje, też już nie budzi powszechnych emocji. Opozycja, która także ma swoje dwulecie, zdała sobie sprawę, że wielu obywateli znużyła walka o demokratyczne państwo prawa, zwłaszcza że okazała się niemal całkowicie nieskuteczna. Szuka innych sposobów na podjęcie wyborczej walki z partią Kaczyńskiego (czytaj s. 12).

Zusypiającej opowieści o dwóch świetlanych latach rządów PiS wyłamał się Parlament Europejski, psując

święto władzy i doprowadzając ją tym do furii. Rezolucja PE o zagrożeniach dla praworządności w Polsce brzmiała jak wspomniana „stara śpiewka” z czasów, które przykrywa niepamięć, bo trzeba iść naprzód, a każdy dzień przynosi nowe ekscytacje. Stąd zapewne irytacja rządzących polityków, którzy w sporej mierze poradzi sobie z krytykami w wewnętrznej polityce, ale wciąż mają ich jeszcze na zewnątrz. A ci judzą i nudzą.

Szczególnie mocno zaatakowano opozycyjnych europosłów, którzy przypomnieli na europejskim forum nudne sprawy praworządności w Polsce. Padły wobec nich zarzuty zdrady, targowicy, nielojalności, a jeden z eksponowanych polityków PiS poradził opozycji, aby w następnych wyborach startowała z list niemieckich. PiS oczekuje de facto, aby opozycja, która w kraju walczy o zachowanie państwa prawa, w Brukseli o tym milczała, a nawet wspierała partię rządzącą, tylko dlatego, że na użytek zewnętrzny PiS nazywa się Polską; schowany pod szyldem państwa uprawia radykalną i wyjątkowo dzielącą społeczeństwo politykę. W trybunale w Strasburgu Polacy też „skarżą Polskę” i z nią „wygrywają” (i Polska musi płacić), ale oburzenia nie ma, bo każdy wie, że nie chodzi o Polskę, ale o decyzje polskiego wymiaru sprawiedliwości. Jednak wielu ulega tej kolejnej manipulacji obozu władzy: że Bruksela walczy z Polakami, chce im zaszkodzić, a opozycja haniebnie wspiera ataki na swój własny kraj.

Zapomina się przy tym, że Polska jest dobrowolnym członkiem Unii Europejskiej i zgodziła się kiedyś na przestrzeganie jej standardów, a także o tym, że sam PiS skarżył się kiedyś w Unii na Polskę, czyli na Platformę. W dodatku w roli największych moralistów występują ci, którzy przez swoje działania doprowadzili do tego, że sprawa ewentualnych (bardzo jeszcze odległych) sankcji na Polskę w ogóle staje na porządku dnia. Ale nie czują się winni, jak zwykle. A wystarczyło tylko nie „udoskonalać” trójpodziału władzy. To nie było trudne, udawało się wszystkim poprzednim rządóm, łącznie z tymi formowanymi przez PiS.

Obóz władzy nie docenia międzynarodowej opinii, lekceważy ją, obraża, szuka spisku i ukrytych interesów. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ocenia zachodnich partnerów według własnych wizji polityki. Nie widać zrozumienia tego, że każdy kraj oprócz zasobu wewnętrznego (stan ekonomiczny, poziom życia, stosunki społeczne) ma też równie ważny zasób zewnętrzny: sojusze polityczne, obronne, relacje gospodarcze. Ale także wizerunek kraju i jego reputację, życzliwość polityków, sieć nieformalnych powiązań, kanałów komunikacji. Aż dziwne, że Kaczyński, który w polityce wewnętrznej tak chętnie stosuje tę miękką tkaninę, cyzeluje obraz partii, gra ludźmi i środowiskami – i to zresztą, jak pokazują sondaże – na zewnątrz uprawia politykę tak niezgrabną i szkodliwą.

Na półmetku rządów PiS można stwierdzić, że wiele się już wydarzyło, ale jeszcze więcej ma się zdarzyć, tyle że bardziej już w sferze powiększania czystej władzy niż w gospodarce czy sprawach społecznych, bo tu prezenty raczej się kończą. Sami politycy PiS nie ukrywali, że ruszą dalej – z dekoncentracją mediów prywatnych, z samorządami, parlamentarną ordynacją – kiedy zapewnią sobie „posybilizm”, czyli sytuację, kiedy nikt nie będzie w stanie im w niczym przeszkodzić. W pierwszej połowie meczu PiS ustawił grę, w drugiej zamierza strzelać gole.

Czas osłabia uwagę. Z jego upływem rzeczy ważne wydają się mniej ważne, mimo że wciąż są istotne dokładnie tak samo, a nawet bardziej, bo widać, jak są wykorzystywane. Nadal nie mamy w Polsce realnej konstytucyjnej kontroli nad działaniami i decyzjami władzy, nadal pozostają niewydrukowane wyroki TK z grudnia 2015 r. i niezaprzysiężeni legalnie wybrani sędziowie. Czy można się do tego przyzwyczaić? Pewnie tak. Ale obywatelska postawa wymaga, aby dokładnie pamiętać, co się stało w Polsce przez całe ostatnie dwa lata, nie tylko w ostatnich miesiącach. Nie ulegać złudnemu poczuciu znużenia i nie godzić się mentalnie z narzucaną odgórnie sytuacją. Bo przyszłość wtedy staje się naprawdę nieuchronna, kiedy za taką zostanie powszechnie uznana.

Jan Koza



© JAN KOZA

Prezes Gersdorf wychodzi naprzeciw



Ewa Siedlecka

Czemu ma służyć projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym, który Pierwsza Prezes SN ujawniła tydzień temu? W uzasadnieniu napisano, że to „wyjście naprzeciw oczekiwaniom społecznym w zakresie oceny pracy sędziów, weryfikacji rozstrzygnięć rażąco niesprawiedliwych oraz zapewnienia równowagi, w ramach której sądownictwo podlegałoby większej kontroli ze strony Sejmu RP, jako reprezentanta Narodu, Ministra Sprawiedliwości oraz Prezydenta RP”.

Tylko dlaczego prezes SN ma „wychodzić naprzeciw” oczekiwaniu większej kontroli Sejmu nad Sądem Najwyższym? Konstytucja tego nie przewiduje. Sejm stanowi prawo, które obowiązuje SN – i to wystarczy za kontrolę. Tymczasem pani prezes proponuje, by osoby (ławnicy), które będą decydować w sprawach dyscyplinarnych sędziów, wybierane były przez posłów. I to posłów partii rządzącej, bo mają oni większość w Sejmie.

Dlaczego prezes SN uważa, że należy wyjść naprzeciw zwiększeniu kontroli ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego nad SN? Czyżby pozytywnie oceniała jego kontrolny wpływ na sądy powszechne? I dlaczego większy wpływ miałby mieć też prezydent? Przecież już mianuje prezesa i wiceprezesów, już dziś współdecyduje, kto zostanie sędzią SN.

Dlaczego pani prezes widzi potrzebę zmiany prawa w celu „weryfikacji rozstrzygnięć rażąco niesprawiedliwych”? Co dziś przeszkadza Sądowi Najwyższemu weryfikować te wyroki w ramach kasacji? Po co stwarzać w tym celu dziwny organ „Rzecznika Sprawiedliwości Społecznej” z osobnym biurem i budżetem, skoro dublowałby on kompetencje rzecznika praw obywatelskich i ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego? I do tego jeszcze propozycja, by ławnikami byli także duchowni. Z tym że wyłącznie wyznawcy chrześcijańskich, gdy konstytucja uznaje wszystkie Kościoły i związki wyznaniowe za równouprawnione. Jak Sąd Najwyższy, który orzeka na podstawie konstytucji, może proponować rozwiązanie niekonstytucyjne, których jedyną zaletą jest to, że są nieco mniej niekonstytucyjne niż te przedstawione przez PiS i prezydenta?

Można zrozumieć, że prezes Gersdorf chce pokazać społeczeństwu, że sędziowie nie siedzą w wieży z kości słoniowej, że „wychodzą naprzeciw” i mają „krytyczną refleksję”. Ale społeczeństwo to nie tylko wyborcy PiS. To także te setki

tysięcy ludzi, które wyszły w lipcu na ulice w obronie sądów, w tym Sądu Najwyższego, z hasłami: „ręce precz od sądów”.

Qui bono? Świat prawniczy zareagował mocno krytycznie na ten projekt. Natomiast PiS – przeciwnie: ogłasza triumf: że nawet Sąd Najwyższy „widzi potrzebę zmian” w kierunku proponowanym przez PiS. I nie omieszcza tego dalej propagandowo wykorzystywać. Żyjemy w czasach, gdy „mowa [w sferze publicznej] powinna być tak-tak, nie-nie”. Inaczej utoniemy w chaosie pokrętnych interpretacji. I potwierdzimy tezę PiS, że prawo jest z plasteliny, a jedyna wartość, której ma służyć, to realizacja polityki „wybrańców narodu”. Prezes Małgorzata Gersdorf do tej pory tak właśnie przemawiała, jednoznacznie stając po stronie sędziowskiej niezawisłości i niezależności sądów. Obok b. prezesa SN Adama Strzembosza była bohaterką lipcowego „łańcucha świateł” pod sądami w całej Polsce. Potem – ponoć przez przeoczenie – poszła do prezydenta na zaprzysiężenie kolejnego dublera wybranego do Trybunału Konstytucyjnego. A teraz ogłasza ten „wychodzący naprzeciw” projekt.

Władza, która systematycznie i z rozmysłem niszczy państwo prawa, nie jest partnerem do rozmów dla organu, który powinien stać na straży prawa. A gdy prezes SN okazuje chęć negocjacji – uwiarygadnia tę władzę i jej propozycje. Sąd Najwyższy włącza się w grę polityczną. Tylko że nikt z nim nie będzie negocjować, bo nie ma on armat. Raczej sam będzie mięsem armatnim dla PiS.

Pożegnanie z Beata?

W Rzeszowie odbyła się w zeszłym tygodniu druga edycja Kongresu 590 – imprezy jeszcze bardziej ostentacyjnie pisowskiej niż Forum Ekonomiczne w Krynicy, z którym Kongres (sponsorowany skądinąd w dużej mierze przez te same państwowe spółki) stara się konkurować. Przez sale konferencyjne pod rzeszowskim lotniskiem w dwa dni przewinęło się ok. 3 tys. osób z elity polityczno-biznesowej władzy: Andrzej Duda, Beata Szydło, trzech wicepremierów, w tym niesłyszany tu fetowany Mateusz Morawiecki, ministrowie i ich zastępcy, posłowie i samorządowcy, prezesi spółek Skarbu Państwa, piarowcy oraz przedstawiciele prywatnego biznesu. Opozycję reprezentował bodaj samotnie senator Grzegorz Napieralski.

Prezydent wręczył nagrody gospodarcze, rząd chwalił się polityką gospodarczą i społeczną, odbyły się rutynowe dyskusje o wspieraniu małych i średnich przedsiębiorstw, ale jak zwykle przy takich okazjach najczęściej życia było w kulisach, gdzie trudno było znaleźć zwolennika tezy, że Szydło przetrwia rekonstrukcję. A i sama premier nie wyglądała na pewną siebie – zaproszona na grudniową konferencję na Dolnym Śląsku odparła ponoć, że nie może przyjąć zaproszenia, bo wówczas może jej już nie być.



© GRZEGORZ BUKAŁA/REPORTER

polityk spokojna, ciepła i unikająca konfliktów. Z mocą zaś wróciły tezy, że nie radzi sobie z kierowaniem rządem, że jest niedecyzyjna, a jak już jakieś decyzje podejmuje, to jedynie takie, które spawalniają projekty Morawieckiego. I że należy na nowo ułożyć relacje w trójkącie rząd-prezydent-PiS, do czego zdolny jest tylko jeden polityk, którego akurat w Rzeszowie zabrakło. Z myślą, że Jarosław Kaczyński zostanie premierem, pogodzili się niemal wszyscy z obozu władzy – jedni z rezygnacją (jak bliskie Zbigniewa Ziobry środowisko medialne „Sieci Prawdy”), inni z umiarkowaną radością (jak otoczenie Morawieckiego), jeszcze inni z entuzjazmem (jak część polityków PiS i środowisko Gowina). Ale kropki nad i jeszcze nie ma, a może ją postawić tylko prezes.

Na szczytach obozu władzy pogoda zmieniła się gwałtownie; jeszcze pod koniec października Szydło zapowiadała rekonstrukcję na połowę listopada, a szef klubu PiS Ryszard Terlecki zapewniał, że zmiany premiera nie będzie. Teraz nikt takich deklaracji nie składa, a Jarosław Gowin już oficjalnie mówi, że rekonstrukcja będzie głęboka.

Cicho było w rzeszowskich kulisach o popularności obecnej premier i o tym, że wymiana niesie polityczne ryzyko utraty wyborców, którym Szydło jawi się jako

WBS

Dusimy się, ale postrzelamy

Ponad 10 razy więcej pieniędzy zarezerwował rząd na program Strzelnica w każdym powiecie niż na walkę z zanieczyszczonym powietrzem.



© JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

Właśnie mija 10 miesięcy od hucznej zapowiedzi programu Czyste powietrze, który miał doprowadzić do rozwiązania problemu smogu. Niestety, wyniki prac „dobrej zmiany” są równie kiepskie jak jakość powietrza w naszym kraju. Z 14 przedstawionych w programie punktów tylko jeden (realizowane przez Ministerstwo Rozwoju wdrożenie standardów

emisyjnych dla kotłowni) jest zaawansowany. Wiele wskazuje też na to, że nie tylko ten, ale i przyszłe sezony grzewcze spędzimy pod hasłem smogu.

Jak wyliczył Polski Alarm Smogowy, w budżecie na 2018 r. zarezerwowano 200 mln zł na walkę z zanieczyszczonym powietrzem. Dużo? Porównajmy z wydatkami na program Strzelnica w każdym powiecie.

Jak poinformował na Twitterze wiceszef MON Michał Dworczyk pieniądze na to już zabezpieczono. Szacuje się, że flagowy program resortu Antoniego Macierewicza będzie kosztował Skarb Państwa aż 2,6 mld zł. Rząd PiS na czyste powietrze wyda mniej niż 8 proc. tego, co na dostępne dla każdego strzelanie.

Tymczasem jakość powietrza w Polsce należy do najgorszych w Unii Europejskiej. Według danych Europejskiej Agencji Środowiska zanieczyszczone powietrze przyczynia się do 43 tys. zgonów rocznie. Dla porównania w wypadkach drogowych ginie ok. 3300 osób. Jedynym powodem, dla którego w Polsce w sezonie grzewczym nie ma permanentnych alarmów smogowych, jest fakt, że Główny Inspektorat Ochrony Środowiska wydaje stosowne oświadczenie dopiero, kiedy stężenie substancji szkodliwych sześciokrotnie przekroczy ustalone przez UE normy.

Efekt? Wychodząc na dwugodzinny spacer po Krakowie, wdychamy ilość rakotwórczego benzo(a)pirenu równą wypaleniu 10 papierosów. Spacer w Łodzi to 8 papierosów. W Warszawie 3,5. W ciągu roku daje to nawet 3700 papierosów rocznie. A benzo(a)piren nie jest jedyną szkodliwą substancją, którą mieszkańcy polskich miast bezwiednie wdychają. Ale zdaniem „dobrej zmiany” to nie problem. Jak się dusić to z bronią w rękę.

A. KAR.

Prokuratura rozkłada ręce

Śledztwo w sprawie postrzelania na planie filmowym operatora Petro Aleksowskiego toczy się od grudnia 2016 r. Opisywaliśmy tę historię w reportażu „Ostatnie ujęcie” (POLITYKA 20). Reżyser Patryk Vega kręcił wówczas reklamę kanału Showmax. Operator wraz z asystentem znajdowali się na wysięgniku, 20 m nad ziemią. Mieli sfilmować strzał oddany przez snajpera siedzącego w nadlatującym helikopterze. Chodziło o strzał pozorowany, bo nabój miał być, co oczywiste, ślepy. Tymczasem nabój okazał się ostry, Petro Aleksowski dostał nim w udo. Cudem uniknął śmierci, bo kula minimalnie minęła aortę. Uszkodziła jednak kość udową. Petro przeszedł kilka operacji, do dzisiaj poddawany jest rehabilitacji, ale lekarze poinformowali go, że noga już nigdy nie odzyska sprawności i że swoim zawodem raczej może się pożegnać – zostanie inwalidą.

Sprawa wydawała się prosta. Snajper, były żołnierz GROM, przyznał, że sam konstruował naboje. Prawdopodobnie pomylił



© PETRO ALEKSOWSKI

ostry ze ślepakiem. Na planie zabrakło pirotechnika, który sprawdza broń i naboje, a za jego brak odpowiada kierownictwo produkcji. Dla prokuratora nic łatwiejszego, niż ustalić zakres odpowiedzialności poszczególnych osób, napisać akt oskarżenia i skierować sprawę do sądu. To ważne dla ofiary tego zdarzenia, bo bez wskazania faktycznego przebiegu incydentu i osób winnych nie może liczyć na wypłatę należnego mu odszkodowania i zadośćuczynienia. Aleksowski jest w fatalnej sytuacji finansowej, ponosi wysokie koszty zabiegów rehabilitacyjnych i leków.

Ale przez prawie rok śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową dla

Warszawy Woli niewiele udało się ustalić. Przesłuchania świadków odbyły się głównie dlatego, że naciskali na ich przeprowadzenie adwokaci operatora. Na ekspertyzę balistyczną czekano kilka miesięcy, a kiedy wreszcie została sporządzona, nie udostępniono jej poszkodowanemu. A na koniec prokuratura rozłożyła ręce. Petro Aleksowski dostał pismo z 20 października 2017 r. z informacją o zawieszeniu śledztwa. „W przedmiotowej sprawie zachodzi konieczność wydania opinii przez biegłego z zakresu BHP, jak również opinii z Zakładu Medycyny Sądowej” – napisała prokurator Ewa Potempska. Zostaną sporządzone nie wcześniej niż za trzy miesiące. Dlatego postępowanie należy zawiesić.

Dlaczego prokuratura tak długo zwlekała z wystąpieniem o te opinie – nie wiadomo. Pewne jest jedynie, że dla pani prokurator sytuacja życiowa ofiary przestępstwa, bo tak należy nazwać zdarzenie na planie filmowym, nie ma żadnego znaczenia. I wszystkie deklaracje o prokuraturze, która za rządów ministra Zbigniewa Ziobry miała szybko ścigać sprawców, ale też troskliwie pochylić się nad losem pokrzywdzonych, okazały się nic niewarte.

PIOTR PYTLAKOWSKI



Telenowela

Wiadomo, że w polityce jest wiele spektaklu. Ostatnio uwagę widzów przyciąga wieloaktowe przedstawienie pt. „Rekonstrukcja rządu” utrzymane w onirycznym stylu realizacji Józefa Szajny, które koncentrowały się na zniszczeniu i przemijaniu.

Oto siedzibę PiS na Nowogrodzkiej spowijają mgły, opary oraz smrody, a zza ich zasłony wyciekają przecieki i słychać – niczym w mickiewiczowskim „Śnie senatora” z „Dziadów”: Beata w łasce! W łasce! W łasce!, a w kolejnej odsłonie rozlega się: Beata wypadła z łaski! Z łaski! Z łaski!

W tym samym teatrze, ale w bocznej salce, możemy śledzić na srebrnym ekranie serial o tzw. ustawach sądowych (o Krajowej Radzie Sądowniczej i Sądzie Najwyższym). Na początku oglądaliśmy dreszczowca skonstruowanego według recepty Alfreda Hitchcocka: w pierwszej scenie trzęsienie ziemi, a potem napięcie stopniowo rośnie. Przepychanie kolanem ustaw przez Sejm, awantury, protesty ze świeczkami, wreszcie weto prezydenta. Wszyscy zamarli, a tu dreszczowiec przerodził się w brazylijską telenowelę. Jedno spotkanie prezydenta z prezesem, drugie, trzecie, czwarte, a później jedno spotkanie prezydenckiego ministra z pisowskim posłem, drugie, trzecie, czwarte... Od razu narzuciło mi się skojarzenie z niezapomnianym serialem „Niewolnica Isaura”. W latach 80., gdy go emitowano, miasta i wioski pustoszały. „Niewolnica Isaura” pobiła na głowę Jana Pawła II i narodową kadrę piłkarską. Średnia oglądalność serialu wyniosła 81 proc., a najwyższa – 92 proc.

W telenoweli piękną niewolnicę Isaurę (mnie się współcześnie skojarzyła z władzą sądowniczą) usiłuje zniewolić nikczemny, ale atrakcyjny syn właścicieli hacjendy – Leoncio (czyli dzisiaj Zbigniew Ziobro). Kłody pod nogi rzuca mu nieco safandulowaty właściciel sąsiedniej hacjendy Tobiasz (wypisz wymaluj pan prezydent Duda), który też się chce Isaurą nacieszyć, ale po bożemu, po ślubie. I wydawało się, że tak to będzie trwało, aż tu nagle pan prezydent i PiS ustami swych plenipotentów znaleźli satysfakcjonujące rozwiązanie. Zniknął ambaras, bo dwóch chce naraz; tej trzeciej, czyli władzy sądowniczej nikt o zdanie nie pyta, bo ona jest od tego, by sycić żądze). Z grubsza to rozwiązanie wygląda tak: Tobiasz i Leoncio zawloką Isaurę do alkowy, zaciągną zasłonki i Tobiasz-prezydent skorzysta z *ius primae noctis*, a następnie wyda Isaurę na łup Leoncia-Ziobry.

Choć wydaje się, że scenariusz następnych odcinków naszej telenoweli został już napisany, to niewykluczone, że, jak to w serialach, czekają nas zaskakujące zwroty akcji. Może się bowiem okazać, że pisowski Leoncio, który w parlamencie może robić, co mu się żywnie podoba, zdecyduje się Isaurę poharbić bez dzielenia się z prezydenckim Tobiaszem i wypchnie go z alkowy... Czy Tobiasz krzyknie wtedy: weto, nie pozwalam!, co sprawi, że Leoncio będzie chciał, ale nie będzie mógł? A może, na co liczę najbardziej, opozycja, która odgrywa rolę pani Isaury, Ester Almeidy, bezradnej wobec intryg nikczemnego Leoncia, spróbuje swoją wychowankę uzbroić w pas cnoty, tak aby Leoncio miał utrudnione zadanie

Ktoś powie: a co tam może opozycja, pisiaki i tak wszystko przegłosują. Niby tak, ale nie do końca. Sytuacja pod istotnymi względami zmieniła się po ostatniej rezolucji Parlamentu Europejskiego, który wkroczył na ścieżkę prowadzącą do złożenia

wniosku do Rady Europy o naruszanie przez Polskę podstawowych wartości Unii Europejskiej, co zgodnie z Traktatem o Unii Europejskiej może zrobić niezależnie od Komisji Europejskiej. Jeśli w toku prac ustawodawczych okaże się, że Leoncio robi to, co robi, po to by uszczknąć puszek dziewictwa niezawisłości Isaury – władzy sądowniczej, to dla obozu władzy ryzyko, że PE złoży wiadomy wniosek, rośnie niebezpieczeństwo.

A jakie ma tu możliwości opozycja? Obsługujący PiS publicyści twierdzą, że niebezpieczeństwa uzależnienia sędziów od obozu władzy nie ma, bo „pisowski sędzia” jest jak wielka miłość, o której w najbardziej bodaj znanym swoim aforyzmie pisał de la Rochefoucauld: „jest jak duchy; wszyscy o nich mówią, ale nikt ich nie widział”. Otóż w niezawetowanej przez prezydenta ustawie o sądach powszechnych ministra sprawiedliwości wyposażono zarówno w bat, jak i bardzo apetyczną marchewkę i dzięki tym narzędziom zbiór sędziów oddanych PiS można dość łatwo wykreować. Batem połączonym z marchewką jest przeniesienie sędziów z mocy ustawy w stan spoczynku po skończeniu 60 lat (kobiety) i 65 lat (mężczyźni), a marchewką to, że minister sprawiedliwości może, według swego uznania, przedłużać stan czynny sędziego. Już sędzia Piwnik, która kończy 60 lat, zapalała entuzjazmem dla zmian wprowadzanych przez obóz władzy. Kolejną marchewką utrzymaną przez Leoncia-Ziobrę są prezesury i wiceprezesy sądów. I wreszcie marchewka odziedziczona przez PiS: możliwość delegowania sędziów do Ministerstwa Sprawiedliwości, Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Kancelarii Prezydenta, co wiąże się z istotnym awansem finansowym. Tu zależność sędziów delegowanych od władzy wykonawczej jest tak oczywista, że po wyroku Trybunału Konstytucyjnego zmieniono ustawę, pozbawiając ich na czas delegowania prawa do orzekania. Ale, zgodnie z projektem prezydenckim, członkami Krajowej Rady Sądowniczej mogą być. Teoretycznie rzecz biorąc, członkiem KRS spośród sędziów może zostać sędzia delegowany – np. wiceminister sprawiedliwości Piebiak, nie zrzekając się przy tym swojej funkcji ministerialnej.

Otóż opozycja może złożyć parę prostych poprawek: że członkami KRS nie mogą być sędziowie delegowani oraz prezesi i wiceprezesi sądów, a do KRS nie mogą kandydować: sędziowie, którzy przez ostatnie dwa lata byli delegowani do administracji rządowej; którzy zostali mianowani prezesami i wiceprezesami na trzy miesiące przed dniem wyboru, oraz tacy, którzy w dniu wyboru mają ukończone 54 lata (kobiety) i 61 lat (mężczyźni). Sędziowie z tych kategorii tworzą bowiem zbiór osób uzależnionych wprost od ministra sprawiedliwości.

Jeśli takie poprawki zostaną zgłoszone – niby są oczywiste, ale opozycję mamy taką, jaką mamy – to albo obóz władzy się na nie zgodzi i wtedy Isaurę odziewamy w pas cnoty, a Leonciowi-Ziobrze zabieramy kluczyk, albo też je odrzuci, ale wtedy trudno mu będzie twierdzić w Parlamencie Europejskim i Komisji, że sądowniczej Isaury nie hańbi.

Apokalipsa po włosku

Kłęska piłkarzy kłęską narodu.

Futbolocentryczny naród przeżywa ogromną traumę. Włoska drużyna po raz pierwszy od 60 lat nie zagra na mundialu. Co więcej, losy zapadły w katedrze włoskiego futbolu, na mediolańskim stadionie San Siro i to w meczu ze Szwecją, która gra, przynajmniej zdaniem włoskich ekspertów, pozbawiony jakichkolwiek subtelności futbol jaskiniowy. O rozmiarach poczucia klęski i poniżenia świadczą tytuły włoskich gazet: „Śmierć Italii”, „Apocalypse Now”, „Italii już nie ma na świecie”. Potępieńcze swary toczą się we włoskich telewizjach, barach, kawiarniach i domach.

Znawcy włoskiej duszy mówią o ciosie w samo jądro tożsamości narodowej. Trzeba pamiętać, że państwo włoskie jest wynalazkiem świeżej daty. Rodziło się, gdy powstańcy styczniowi jechali kibitkami na Syberię, a na dobre nie zjednoczyło się do dziś. Gdyby nie telewizja, Sycylijczyk nie dogadałby się z Piemontczykiem. Różnice w obyczaju i mentalności są nadal ogromne. Oriana Fallaci ubolewała we „Wściekłości i dumie”, że jej rodacy wpadają w patriotyczne uniesienie jedynie wtedy, gdy uda się strzelić ważną bramkę.



Italia jest nadal krainą małych ojczyzn, która jednoczy się jedynie w okazjach szczególnych. A jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszą, są właśnie mecze futbolowej reprezentacji. Znajdują się na pierwszych 26 miejscach listy najczęściej oglądanych spektakli we włoskiej telewizji. Miejsce 27. dumnie dzierży jedna z edycji festiwalu piosenki w San Remo.

Państwotwórczą rolę futbolowego sukcesu świetnie rozumiał Mussolini. Wznosił stadiony, wystarał się o organizację mundialu w 1934 r., a zle języki mówią, że zapewnił Italii zwycięstwo, korumpując szwedzkiego sędziego finałowego meczu Italii z Czechosłowacją (Rzym, 2:1 po dogrywce). Futbolowa klęska oprócz strat moralnych pociągnie za sobą ponure skutki finansowe. Straty szacowane są na 20 mld euro.



© AP/PEAST NEWS

Niemiecki ból głowy

Angela Merkel wciąż nie może sformować nowego rządu.

Brexit, referendum niepodległościowe w Katalonii, kryzys zadłużeniowy w strefie euro. Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker podkreślał nie tak dawno, że UE „bardziej niż kiedykolwiek” potrzebuje silnego rządu w Niemczech. Ale kraj, który do tej pory wydawał się unijną wyspą stabilności, przeżywa właśnie największy kryzys polityczny, odkąd 12 lat temu kanclerzem została Angela Merkel. Dwa miesiące po wyborach do Bundestagu nadal nie jest jasne, kto będzie rządził za Odrą i kiedy powstanie nowy gabinet. W niedzielę późnym wieczorem liberalna Wolna Partia Demokratyczna (FDP) niespodziewanie ogłosiła, że zrywa sondażowe rozmowy w sprawie koalicji z chadekami Merkel (CDU/CSU) i Zielonymi.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby w tej sytuacji odnowienie koalicji chadeków i Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD). Taki gabinet pod wodzą Merkel istniał już w latach 2005–09 i od 2013 r. Niemcom zapewniało to stabilne rządy. Ale SPD wyraźnie traciła na „małżeństwie z rozsądku” z CDU/CSU. We wrześniu partia Martina Schulza zdobyła zaledwie 20,5 proc. głosów, co oznaczało dla niej najgorszy wynik w powojennej historii. W poniedziałek socjaldemokraci potwierdzili, że nie chcą kolejnej koalicji z chadekami, także gdyby miał to być gabinet bez Merkel. Inny scenariusz to rząd mniejszościowy. Takie rozwiązanie nie było jednak praktykowane w powojennych Niemczech. Nawet jeśli do gabinetu chadeków weszliby liberałowie, do większości w Bundestagu brakowałoby 29 głosów. O silnym rządzie nie byłoby więc mowy.

Kolejny wariant to przyspieszone wybory. Skomplikowane procedury przewidziane w konstytucji sprawiają jednak, że ponowne głosowanie mogłoby się odbyć dopiero w okolicach Świąt Wielkanocnych. Na nowy rząd trzeba by czekać jeszcze dłużej, a negocjacje w sprawie koalicji również tym razem nie musiałyby być łatwe. I dla Berlina, i dla Brukseli oznaczałoby to konieczność odłożenia wielu istotnych decyzji. Nic dziwnego, że pozycja pani kanclerz jest dziś mocno osłabiona. Niektórzy komentatorzy mówią nawet o początku końca ery Angeli Merkel.

Wałkowanie Polski

Sytuacji w Polsce przygląda się już nie tylko Komisja Wenecka i Komisja Europejska, ale też Parlament Europejski. W zeszłym tygodniu eurodeputowani – po raz piąty wałkując sprawę Polski – większością 438 do 152 wezwali nasz rząd do przestrzegania praworządności i praw podstawowych, zapisanych w traktatach. Spośród polskich europosłów apelowi przeciwni byli wszyscy przedstawiciele PiS. Reprezentanci SLD wstrzymali się od głosu, a członkowie PSL zbojkotowali głosowanie. „Za” było jedynie sześciu europosłów PO (12 się wstrzymało).

Teraz przygotowaniem sprawozdania na temat Polski zajmie się jedna z parlamentarnych komisji. Dopiero na jego podstawie 2/3 głosujących europosłów (i co najmniej połowa wszystkich) może zdecydować o przedłożeniu sprawy Radzie Europejskiej. Biorąc pod uwagę ubiegłotygodniowe głosowanie, nie powinno z tym być

problemów. Inaczej niż w Radzie – tam 22 na 27 państw musiałoby formalnie uznać, że w Polsce zagrożona jest praworządność, a potem jeszcze jednomyślnie zagłosować za sankcjami, czyli odebraniem prawa głosu w Radzie.

Równolegle nad wnioskiem do Rady o sankcje dla Polski pracuje Komisja Europejska. Czekają na zmiany w dwóch ustawach zawetowanych przez prezydenta RP. Polscy ministrowie nie chcą rozmawiać w tej sprawie z wiceprzewodniczącym KE Franssem Timmermansem. To nieco opóźniło procedury, ale zarówno w europarlamencie, jak i w KE oskarżenia dotyczące Polski powoli wchodzi w etap finalizacji. Zapewne można je było na wielu etapach zatrzymać węgierskim sposobem, idąc na pewne ustępstwa, a przynajmniej używając łagodniejszego języka. Polska wybrała jednak inną drogę.

Biden się szykuje

Czy 77 lat to za dużo, by zostać prezydentem USA? Tyle będzie miał w 2020 r. były demokratyczny wiceprezydent **Joe Biden**, który dał do zrozumienia, że nie wyklucza kandydowania w najbliższych wyborach. W historii Ameryki żaden prezydent nie obejmował władzy w tak późnym wieku, a gdyby Biden rzeczywiście nim został, drugą kadencję kończyłby, mając lat 85. Tak sędziwi przywódcy rządzą tylko w autokracjach, kraje demokratyczne wolą młodszych.



© BEA/W

W miarę postępów medycyny pojęcie starości wymaga oczywiście relatywizacji. Biden wierzy, że gdyby to on kandydował rok temu na prezydenta, pokonałby Donalda Trumpa. Prawdopodobnie to prawda, bo w odróżnieniu od Hillary Clinton łatwo nawiązuje kontakt z ludźmi i uchodzi za wypróbowanego przyjaciela biednych i świata pracy. Ma jednak skłonność do gadulstwa i popełniania gaf, a w sprawach międzynarodowych niezwykle często się mylił. Jest też znany z publicznego okazywania zachwyty dla wdzięków kobiecych – w mediach krążą zdjęcia jak Biden głaszcze po włosach, obejmuje, a nawet całuje żony i córki polityków

w czasie ceremonii ogłaszania ich nominacji przez prezydenta Obamę. W Ameryce „post-Weinsteinowskiej” eliminuje go to z grona wybieralnych kandydatów do Białego Domu.

Fakt, że taki polityk poważnie myśli o prezydenturze, a niektórzy marzą, że zapobiegnie reelekcji Trumpa, mówi, w jak głębokim kryzysie znajduje się Partia Demokratyczna. Nie widać w niej wybitnych przywódców, poza kobietami albo przedstawicielami mniejszości, a to w USA wciąż jest obciążającym balastem. Demokraci nie potrafią też zaproponować programu atrakcyjnego dla wyborców z Midwestu, przegranych w globalnej gospodarce, którzy w ub. roku kupili populistyczny przekaz Trumpa. Mają trochę ten sam problem co lewica w Polsce.



© EAST NEWS/AFP

Luwr na eksport

W zgodnej opinii nowe muzeum Luwr Abu Zabi to świetny projekt architektoniczny – dzieło utytułowanego Francuza Jeana Nouvela. Wielka półprzezroczysta kopuła, dająca niewiarygodną grę światła, a pod nią niewielkie białe budynki, niczym miejscowa medyna, chłodzona morską bryzą. W środku 600 eksponatów – wypożyczonych z 13 francuskich muzeów, z paryskim Luwrem na czele – da Vinci, Matisse, van Gogh, Monet, wszystko z górnej półki. Sama francuza pozwalająca używać przez 10 lat prestiżowej nazwy kosztowała naftowy emirat 525 mln dol. (w umowie jest zastrzeżenie, że podobna placówka nie powstanie w żadnym innym kraju arabskim). No i tu zaczyna się debata: z jednej strony krytycy wytykają Francuzom rodzaj neokolonializmu: sprzedają Abuzabczykom muzea jak broń, wprowadzili tu nawet Sorbonę. Narzucają swój kanon. Krytycy z pozycji wręcz przeciwnych zarzucają, że Paryż dostarcza pięknego

kulturalnego plastra na miejscowe problemy z różnymi wolnościami oraz przynajmniej oko na niewolniczy wyzysk robotników przy wznoszeniu podobnych faraonich projektów. Dał się kupić.

Ala debata z czasem ostygnie, a piękny obiekt zostanie. Ba, na wyspie Saadiyat, gdzie niedawno był tylko piasek, powstaje cała dzielnica muzeów, i to jakich. Obok Luwru stanie kolejny Guggenheim, projektu Franka Gehry'ego, a Norman Foster tworzy miejscowe muzeum narodowe, które ma powstać we współpracy z British Museum, wielkie centrum sztuki powstaje w pracowni (zmarłej przed rokiem) Zahy Hadid, a japońska gwiazda architektury Tadao Ando tworzy muzeum morskie. Po drodze jest sporo kłopotów, a cały region jest już mniej spokojny i słabiej prosperuje niż w czasach, kiedy podpisywano umowy. Ciekawe, jak to się wszystko zrośnie i czy nabierze klimatu, codziennego życia?

Mołdawia rozzarowana

Prorosyjski prezydent Igor Dodon, zwolennik strategicznego partnerstwa z Moskwą, przez blisko rok nie zdołał nominować ministra obrony. Poprzedniego odwołano w 2016 r. za sprzyjanie NATO, a Dodon zapewne wołałby na tym miejscu kogoś lepiej dogadującego się z Rosją. W sytuacji trwającej wojny na wschodzie Ukrainy, zamrożonego konfliktu w Naddniestrzu, a obecności w kraju obcych wojsk postawa Dodona wywoływała ostrą krytykę ze strony rządu. Nie wiadomo jednak, na ile prozachodni kurs rządzącej koalicji jest prawdziwy, a poza tym ma ona też swoje za uszami, bo z mołdawskiego systemu bankowego zniknęło miliard euro, a oskarżenia padają także na koalicję. Na scenę wkroczył więc Sąd Konstytucyjny, który zawiesił prezydenta w wykonywaniu obowiązków do czasu powołania ministra.

Z pozoru to sukces demokracji, ale nie w Kiszyniowie, gdzie życie polityczne i niemal wszystkie instytucje, w tym Sąd Konstytucyjny, kontroluje najbogatszy oligarcha Vlad Plahotniuc. Choć nie pełni on żadnej funkcji państwowej, to faktycznie jest liderem i sponsorem Partii Demokratycznej, która stanowi drugie co do wielkości ugrupowanie rządzącej koalicji. Przed szykowanymi na przyszły rok wyborami parlamentarnymi Plahotniuc czaruje Mołdawian i obiecuje reformy. Zaufanie dla niego nie przekracza jednak nawet 5 proc. Tyle że głęboko rozzarowuje też polityka Brukseli, która przez lata wpompowała miliony euro pomocy dla Kiszyniowa, ale ostatecznie zamiast reform wspierała korupcję, gdyż nie potrafiła wyegzekwować realnych zmian. I to rozzarowanie może sprawić, że po ośmiu latach niekomunistycznej władzy do rządzenia ma szansę wrócić prorosyjska Partia Socjalistów prezydenta Dodona.

Rozpoznanie bojem



Przygotowania do wyborów samorządowych wyraźnie przyspieszyły. Schetyna, Rafała Trzaskowskiego, rozpoczął bój o Warszawę. PiS przedstawił zaś projekt daleko

JOANNA SAWICKA, WOJCIECH SZACKI

Oba te wydarzenia mają ważne polityczne implikacje, choć idące w przeciwnych kierunkach. Desygnowanie Trzaskowskiego było aktem nieprzyjaznym wobec Nowoczesnej, oddalającym możliwość porozumienia tych partii. Nowelizacja ordynacji, przeciwnie, poprzez faworyzowanie największych partii będzie mocną zachętą do konsolidacji opozycji.

Wybory samorządowe odbędą się za rok. Składa się na nie wiele równoległych kampanii, z których największe znaczenie dla polityki krajowej mają dwie: rywalizacja o kilka największych miast, w tym zwłaszcza Warszawę, oraz walka o sejmiki, która pokaże układ sił przed kampanią parlamentarną w 2019 r.

Wyniki tych potyczek mogą przewrócić do góry nogami naszą scenę polityczną, zwłaszcza po stronie opozycyjnej. Z kolei zmiany ordynacji samorządowej będą poligonem doświadczalnym, na którym PiS poćwici przed grzebaniem w ordynacji parlamentarnej, a może i europarlamentarnej.

Ordynacja zabija małych i wzmacnia dużych

Projekt zmian w Kodeksie wyborczym PiS przedstawił w dniu ogłoszenia kompromisu z prezydentem w sprawie sądów i w przeddzień marszu niepodległości. Nową ordynację przykryły bardziej emocjonujące wydarzenia, a zaproponowane

w niej rozwiązania wielu komentatorów uznało za łagodne i niezbyt daleko idące. W rzeczywistości mogą one nie tylko zdestabilizować proces wyborów, ale też znacząco wpłynąć na wyniki i układ sił w samorządach. Nowelizacja upolityczni komisarzy, wprowadzi chaos przed samym głosowaniem, utrudni liczenie głosów i otworzy pole do nadużyć.

Projekt skrytykowała PKW. „Zmiany w kodeksie przygotowały osoby, które nie mają pojęcia o tym, jak w praktyce wyglądają wybory i praca Państwowej Komisji Wyborczej” – powiedział na konferencji szef Komisji Wojciech Hermeliński. Kpił, że przepisy wyglądają, jakby układał je mały Kazio.

Dla partii w projekcie PiS kluczowe są przepisy zmieniające sposób wyboru kandydatów i wpływające na ich szanse.

Największy niepokój budzi zmniejszenie okręgów na poziomie sejmików, powiatów i gmin. Obecnie w okręgach sejmikowych można uzyskać od 5 do 15 mandatów, po zmianach będzie od 3 do 7. Znacząco podnosi to realny próg wyborczy – nawet kilkanaście procent głosów może nie wystarczyć do zdobycia mandatów. Oznacza to, że do sejmików nie wejdą mniejsze ugrupowania, jak Nowoczesna i Kukiz'15 oraz PSL w północno-zachodnich częściach kraju. Taki system osłabia też komitety lokalne.

Mniejsze emocje budzi wprowadzenie dwukadencyjności dla wójtów, burmistrzów i prezydentów od 2018 r. PiS wycofał się z pierwotnego pomysłu dwukadencyjności wstecznej, ale nawet ta wprowadzona „do przodu” jest wątpliwa konstytucyjnie, bo w ustawie zasadniczej nie ma regulacji dotyczących kadencji samorządów. Trudno jednak oczekiwać, że obecny Trybunał Konstytucyjny zablokuje te przepisy.

Rafał Trzaskowski (PO) i Paweł Rabiej (Nowoczesna) będą kandydować na stanowisko prezydenta Warszawy. Miał być wspólny kandydat obu partii, ale wyszło, jak wyszło...



© ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER, GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONIEWSKI.PL

wysuwając kandydaturę idących zmian w ordynacji samorządowej.

Protesty – przede wszystkim Kukiz'15 – wywołuje likwidacja JOW w małych gminach. Ugrupowanie chciało rozszerzyć system większościowy na wszystkie szczeble samorządu. Paweł Kukiz ocenił, że nowa ordynacja cofnie Polskę do „systemu najsiermiężniejszej komuny, gdzie samorządowcy przywożeni byli w teczках przez pierwszych sekretarzy”. I wezwał prezydenta do weta.

Projekt zmian wywołał popłoch, szczególnie w mniejszych partiach. – *Ordynacja zmienia wszystko. Przy tak małych okręgach próg wyborczy rośnie do ok. 20 proc., a szanse na mandaty mają tylko trzy partie – PiS (właściwie wszędzie) i PO oraz PSL i to tylko w regionach, w których są stosunkowo silne* – mówi POLITYCE Władysław Kosiniak-Kamysz. Szef PSL jeszcze niedawno zapierał się, że nie ma mowy o wspólnych listach opozycji w samorządach, bo wybory lokalne są dla ludowców kluczowe. A partia ma tysiące kandydatów do wystawienia na różnych szczeblach. Teraz zaczyna zmieniać zdanie.

PSL rozważa trzy warianty. Wystawienie własnej listy (co wydaje się coraz mniej prawdopodobne), szeroka koalicja wszystkich partii opozycyjnych oraz wspólny start z ugrupowaniem Kukiz'15, z którym ludowcom jest ostatnio po drodze, bo razem najostreż ze wszystkich protestują przeciw zmianom w ordynacji.

Politycy PO w oficjalnych rozmowach wyrażają rutynowe oburzenie i deklarują protesty, ale nie wyglądają na specjalnie zmartwionych. Zmiana ordynacji wzmacnia PiS, ale zarazem daje Platformie przewagę wobec reszty opozycji. Nowelizacja czyni z mniejszych ugrupowań petentów Schetyny: albo wystartują same i przepadną, albo staną się młodszym

partnerem koalicyjnym PO, z odpowiednio mniejszymi udziałami na listach wyborczych.

Politycy PO wcześniej deklarowali, że z rozmowami czekają na nową ordynację, bo to od niej wszystko zależy. Ale teraz czekają dalej – aż pozostałe partie opozycyjne dojdą do wniosku, że nie mają wyjścia i muszą się przyłączyć do Platformy, najlepiej na jej warunkach.

– *Nam się nie spieszy. Może się okazać, że porozumiemy się dopiero po wyznaczeniu granic okręgów. Jak PSL i Nowoczesna zobaczą, że większość z nich jest trzymandatowa i nie mają praktycznie żadnych szans na radnych, to się w końcu zdecydują* – mówi POLITYCE członek władz partii. Porozumieniu niechętni będą zapewne obecni samorządowcy PO, bo dla nich nowi ludzie na listach będą stanowili zagrożenie.

Z kolei Nowoczesna nie chce łatwo ustępować Platformie i przekonuje, że to PO bardziej potrzebuje partii Petru niż na odwrót. – *My w samorządach nie mamy teraz władzy, więc też nie mamy wiele do stracenia. Możemy tylko zyskać, a Platforma – stracić* – mówi POLITYCE Katarzyna Lubnauer. I dodaje: – *Warunkiem współpracy jest wyrażenie dobrej woli w tym kierunku. Jak na razie ze strony PO nie było jej widać, ale nowa ordynacja może wszystko zmienić.*

Ryszardowi nie odamy

Według wiceszefowej Nowoczesnej partia chce jedynie zaznaczyć obecność w samorządach. Mieć kilku radnych w sejmikach oraz w najważniejszych miastach, i wystawić kilku kandydatów na prezydentów. Z tym ostatnim jest największy kłopot, bo PO w niewielu miastach jest gotowa ustąpić. – *My chcemy współpracować z Nowoczesną. Jej elektorat może nam dać mandaty konieczne do utrzymania władzy. Ale to nie oznacza, że będziemy oddawali Ryszardowi Petru miasta, w których PO by wygrała, a Nowoczesna nie ma nikogo rozpoznawalnego* – mówi jeden z liderów Platformy.

Podobną jak Nowoczesna postawę ma Barbara Nowacka z Inicjatywy Polskiej. – *To nie jest tak, że my jesteśmy skazani na koalicję z PO. To ona jest skazana na koalicję z nami, bo bez lewicy Platforma straci władzę choćby w radzie Warszawy. Tymczasem oni czekają, aż przyjdziemy ich prosić* – twierdzi Nowacka. Podkreśla, że jest otwarta na współpracę, ceni też Trzaskowskiego, który będzie reprezentował PO w Warszawie. Ale podobnie jak pozostałe mniejsze partie, nie podchodzi do wspólnych list z entuzjazmem. – *Dla nas taki scenariusz nie jest korzystny. Znam masę ludzi, którzy poparliby nas w wyborach, ale na zjednoczoną opozycję nie zagłosują, tylko zostaną w domu. Bo nie chcą głosować na Platformę.*

Znawca ordynacji wyborczych Jarosław Flis policzył, jak wyglądałby podział mandatów w sejmikach w 2014 r., gdyby wówczas obowiązywały małe okręgi. PiS zyskałby 16 mandatów w skali kraju, Platforma – osiem. PSL, SLD i komitety regionalne odnotowałyby straty. Ale wówczas PiS i PO miały zbliżone wyniki, a bardzo silny był także PSL. W 2018 r. premia dla największej partii byłaby jeszcze większa, choć trudna do wyliczenia. – *Z małymi okręgami jest trochę jak na loterii. Może się zdarzyć, że 49 proc. poparcia da wszystkie mandaty w okręgu trójmandatowym (gdy pozostałe partie mają niskie poparcie), a może być i tak, że z 49 proc. można mieć tylko jednego radnego* – mówi POLITYCE Flis.

Zresztą wcale nie jest powiedziane, że należy się przyzwyczajać do obecnego brzmienia nowelizacji Kodeksu wyborczego. Ostra krytyka ze strony bliskiego PiS szefa PKW – Hermelińskiego to od dziecka znajomy braci Kaczyńskich, z poręki PiS został sędzią Trybunału Konstytucyjnego w 2006 r. – może zwiastować wprowadzenie licznych poprawek. Na tę ustawę z uwagą będzie też patrzył Andrzej Duda, dbający o relacje ►